

Marek Sztabowski: Wróżbita II

Tymczasem stolika Wróżbity przechodził ogromny kapelusz.

Sombrero sięgające kilku meksyków z doczepionym u dołu drobnym chłopiną,
rzadkim jak złudzenie.

Srebrnosiwe wąsy zwisały do ziemi malując
dwa wyjątkowo mokre rowki w błocie.

Całość wyglądała jak owa nierozsądna kolej wąskotorowa,
która wylania się niekiedy z jednego brokułu mgły
by natychmiast przepaść w bemolu drugiej

moja żona lubiła amigo

rznąła w karty i przegrywała

zrozpaczona piła borygo

ziąła

- poniosło się asfaltem wieczornego nieba,
poniosło się ku znów tej samej pierwszej gwiazdce,
aby dokładnie pośrodku bezsensu minąć się z echem

mój męzulek piku piku chorował

zaskórniaczka miał serce w skarpecie

choć do śmierci ani mru ani słowa

umarł przecie

Echo, chłopina, wąsy, oraz to wszystko co napisane powyżej
zniknęło równie szybko jak się pojawiło dając pole do popisu
rozbudzonej wyobraźni.

- Idiotyczne -

zagaił Wróżbita.

- Ale ustawia nas realnie w świecie

zaoponował Marco przez Pola.

- To dzięki takim chwilom, beznadziejnie głupim i absolutnie

nieoczywistym istniejemy bardziej, wydając się normalni.

- A te piosenki?

- Są jak dno szklanki z herbatą, bez którego nie wiedzielibyśmy, ile

łyżeczek cukru wsypać. Poza tym - łyżeczka wpadałaby do szklanki

raz na zawsze. Ów chłopina (ja wiem, wiem, że nierealny i głupi)

potrzebny jest całemu światu, aby mógł istnieć

w swoim wyobrażeniu oczywistości, a Ziemia kręciła się

w jedyną słuszną stronę

dookoła Księżyca, czy jak to teraz mówią, podług aktualnego stanu wiedzy.

- Zostawmy chłopinę w sombrero. Lepiej zobaczę, co

tymczasem urosło w Kartach -

zachnął się Wróżbita.

Nie tak, nie tak, nie nie, nie nie tak

- w pustym kościółku szepcze echo.

To lichy w ciszy sieje zły mak

i piołun wlewa w gardła uśmiechów.

Nie tak, nie tak, nie nie, nie nie tak

- gwiazdy cekinów w welonie młodej

szponami szarpie cienisty ptak,

zgaszone rzuca na podłogę.

Gdzieś tam, nad ranem śnią wesele

i w tańcu suknię przytulił frak,

a echo lata po kościele:

nie tak, nie tak, nie nie, nie tak...

- Zupełnie bez sensu i nie na temat

zapropozował Marco.

- A poza tym, to takie oczywiste morałki.

Wróżbita wyciągnął telefon komórkowy i spojrzał przeciągle

w pocerową snami nadciągającą noc.

- Telefon też jest oczywisty.

Nawet małpa w ZOO wiedząc, że to nie banan -

pieprznie nim o ziemię i poszuka czegoś

jadalnego dla siebie

oczywiście zapalamy światło

wjeżdżamy samochodem do automatycznej myjni

wybierając stosowny jesienny program

w międzyczasie oglądamy zdjęcia z Marsa

oczywiście - oczywiście

nic nie rozumiejąc

Tu Wróżbita roztrzaskał telefon o chodnik
i wyciągnął z torby banana

Wróżbita

*w pozał się boże małym miasteczku
w nudnej godzinie, gdzieś bez adresu
potrafi przecież wykluc się
coś zgoła nieoczekiwanie innego*

banan

*a trawy wtenczas rosną, zielenią
całkiem zwyczajnie
starzeją się*

Wróżbita

*więc zrozpaczona, bez szans na jutro
spotkała gościa i stało się
z brzuchem chodziła, tak stało się, że
pomyliła kalendarzyk z numerem jego jedyne kołnierzyka*

banan

*a drzewa wówczas po prostu szumiały
tak jakby szumiały
bez tego całego wszystkiego*

Wróżbita

*ten gość to aparat był, bo
aż dotąd przez życie bez butów szedł
choć nie pił tego, nie klął jak szewc*

jakby z galery złudzeń zbiegł

banan

jesień akurat pryskała sady, i

deszcze jak dreszcze ciągnęły skądś

jesienne chmury kaszlały wciąż

Wróżbita

ci pokochali się, psioczyły baby

nawet za mocno jej nie tłucze?

ten inny człowiek

ten dobry mąż

banan

ziąb jak próchnica wykruszał liście

latarnie wcześniej kiwały się

(jeśli oczywiście posiadały aktualne żarówki)

Wróżbita

lecz wyobraźcie sobie: tamtych dwoje

raz tam nie dokręciło gazu

ona umarła od tego w łóżku

on trochę dalej (i nie od razu)

banan

czterdzieści dni listopad był

w tym pożał się boże nudnym miasteczku

w pustym pokoju skrzypiały drzwi

Kiedy Wróżbita przełknął ostatni kęs banana, Marco zakrzyknął:

- A to mi się podoba!

Przygnębiające i nie ma sensu, więc ma sens,

zatem dobrze oddaje Istotę Miłości.

Można by powiedzieć: jest do dupy!,

a ta, jak wiadomo, to pięta achillesowa każdej Miłości -

wystarczy celnie trafić, aby zabić nawet te pozornie nieśmiertelne

jesteś północą a ja północą

srebrzystą konewką gaszę minionych facetów

przemijam jak przemijali

gasząc srebrzystą konewką minionych facetów

cipuszko, a co byś powiedziała

gdybym pozostał do rana?

od dębu wypłakał się raz do brzozy

zobaczyć, czemuż to jesteś północą

a ja muszę gasić srebrzystą konewką minionych facetów

przemijać jak przeminęli

gasząc srebrzystą konewką minionych facetów

cipuszko

cip uszko!

cip cip uszko?

w twoich oko licach jest mnóstwo dymu

zwęglone ślady cygar minionych facetów

podejdz

szepnę ci, że i tak cię kocham

zanim przeminę

zgaszony srebrzystą konewką

Blaknąc powoli, słowa srebrzystej konewki odsłaniały kolejne
polany wilgotnej nocy, kosmiczne tratataj wozy wyjeżdżały na czarne plaże
ciągnąc za sobą kłęby słonecznych spalin.

Na dole ludzie, jak zwykle mordowali ludzi, umierali ze starości albo
po prostu ginęli wysadzani w locie przez terrorystów z porwanych samolotów.

Na szczęście dla degradacji środowiska naturalnego,
większość ludzi w tym samym czasie produkowała nowych ludzi
z krótkotrwałą gwarancją przyszłości, a

Pewien poeta napisał wiersz.

Wiersz piękny, piękniejszy od niego.

Temu poecie, nie wiem czy wiesz -

skrzydła urosły z tego.

Potem, rzecz nie do wiary,

poeta wyleciał kominem!

Psuł na ratuszach zegary

i miał przy tym wesołą minę.

I całe szczęście, powiem szczerze,

że nie wydali mu tego wiersza.

Zaś ów poeta? - w taniej operze

gra dziś zielonego świerszcza.